

Drobny śnieg sypał w oczy, dezorientował, ciął po twarzach. Tryntyjczycy pookrywali się wełnianymi kraciastymi pledami. Samnijka mocniej nacisnęła na oczy futrzaną czapę. Terał poprawił płaszcz.

Dwoje umarłych drżało niezależnie od tego, czy śnieg zacinał czy nie.

Samnijka powolnym ruchem ręki odgarnęła śnieg z kamieni, na których wyczuła moc. Symbole pulsowały i drażniły, mówiły do niej.

Khurd, przyjaciółko... Tak dobrze się rozumiałyśmy! To naprawdę mogła być dobra, wieczysta znajomość...

Szsz! – mruknęła pod adresem głosu w swojej głowie – Szszsz, ty zniknąłeś. Nie ma cię.

Gdy wibrujący wysoki kobiecy chichot odbił się echem od kamiennych ścian fosy, przez chwilę myślała, że to tamta wróciła. Potem pomyślała, że to jej własny głos.

Aż zrozumiała, że to tylko odbijane echo z przeszłości...

\*\*\*

Dwie postaci nie rzucające cienia stały naprzeciw siebie, można by je wziąć za nieco ciemniejszy obszar pod drzewami, gdyby nie ich płonące oczy. Trzecia para oczu należała do siedzącej pod ścianą postaci w czarnym płaszczu, z zaciekawieniem obserwującej tamtych dwoje. Siedząca bawiła się trzymanym w dłoniach rzeźbionym rogiem sygnałowym, słuchając słów rozmawiających.

- Dla kraju, nie dla siebie!

- Obecnie kraj to Bryn, a Bryn to kraj no chyba że na lidera typujesz Halfdana.

- Wybór między jednym zdrajcą, a innym to nie wybór - cichy kobiecy głos wydawał się drzeć, może z zimna, może z egzaltacji - Nie wierzę, że nie znalazłby się żaden wierny ojczyźnie dowódca!

- Jak kto...? – towarzyszący jej mężczyzna był spokojny, lodowato, wyrachowanie spokojny - Bryn jest szlachcicem i powiernikiem korony i weteranem walk od początku wojny, jeżeli on nie przeprowadzi ludzi przez ten kryzys to nikt tego nie zrobi

- Kto zaufa dowódcy, który kolejny raz składa broń? Jaki sojusznik pójdzie z nim na układ po tym, jak wystawił Terałi? – uważny słuchacz bez problemu rozpoznałby drżące nuty w głosie mówiącej kobiety. Rozmówca też rozpoznawał - Właściwie lepsze byłoby zabicie go ku przestrodze kolejnych kunktatorów i zostawienie w lesie z tabliczką "zdrajca" na szyi! Kto raz się ugiął, ugnie się i kolejny...

- Kto w tym kraju się nie ugiął i jest żywy? Zmarnowaliśmy jedną okazję i dopóki nie nadejdzie następna nie ma sensu walczyć i mówię to z wojskowego punktu widzenia.

- To jest winien temu, że zmarnowaliśmy, powinien zapłacić za zdradę!

- Wiesz że to bujda i impuls emocjonalny po utracie bliskiej osoby i dlatego nie przepuszczę cię dalej... Nie walczysz już o Trynt, walczysz o zemstę depcząc po drodze posłuszeństwo, przyjaźń i dobro kraju – teraz jego głos zabrzmiał tłumioną irytacją.

- Nie mam na to żadnej odpowiedzi.... – szepnęła.

- Więc zawróć! Uwolnij go i odpuść!

Na jego słowa skryła twarz w dłoniach, opalizujące światłem oczy przestały się jarzyć w mroku.

- Przysiągłeś mi zemstę za Sliabh Ard... co z twoim słowem, jarlu?! – załkała nagle. Odpowiedział niemal w tej samej sekundzie:

- Czy obiecywałem że to będzie za tydzień? Miesiąc? Rok? Zemsta się dokona, pytam tylko czy ty mścisz się na właściwej osobie? Bo kiedy ja będę zabijał Qa, ciebie może nie być u mego boku, pomyśl o tym...

Milczała długo, trwając z pochyloną głową i wzrokiem wpatrzonym w ziemię. Gdy podjęła znów rozmowę, jej głos był słaby. Zrobiła kilka kroków do przodu, mijając go, wykonała delikatny ruch rękami w powietrzu.

- Wracaliśmy po to, żeby czekać i patrzeć jak wszystko się wali, jak nasi ludzie są niewolnikami na własnej ziemi i nic nie robić? – szepnęła.

- Zbierać żywność, ostrzyć miecze, rekrutować ludzi. Bryn nie będzie bezczynny ani ja.

- Możesz po tym wszystkim wciąż w niego wierzyć...?

- Błąd, który popełnił wiele go kosztował...i wiele go nauczył. Jeśli jego zabraknie naprawdę nie będzie już w kogo wierzyć

- Znów przeczysz swoim poprzednim słowom - gdy rozmawialiśmy o wysokich ziemiach, mówiłeś, że jeśli raz ustąpią, będą ustępować zawsze... jego to nie dotyczy? Może to, że wtedy go namówiłam do kapitulacji, tak naprawdę złamało mu charakter...

- Może i co wtedy? Warto go zabić, bo ma już przetrącony kręgosłup? To sugerujesz? Że jest bezużyteczny w twoich oczach więc należy się go pozbyć? Nie znałem cię od tej strony...

- Nie to miałam na myśli... ! Chcę tylko, żeby jego słabość nie ciągnęła w dół reszty kraju, wystarczy już, że wysokie ziemie wykorzystają naszą ofiarę....

- Dla mnie Bryn jest ostatnim silnym spośród słabych....zabij go i przekreśl wszystko o co do tej pory walczyłaś albo znajdź spokój i zdecyduj właściwie

- Podał rękę mordercom naszych rodaków... – krzyknęła - Czy to nie jest niegodziwość? Dobrowolnie oddał broń, rozbroił tych, którzy jeszcze chcieli walczyć. nie wiem, czy to był egoizm czy niegodziwość czy tylko zaślepienie, wierzyłam w niego bardziej niż ktokolwiek, bo był mi bliski jak brat, ale teraz to jego osoba pociągnie nas wszystkich na dno, zmarnuje naszą ofiarę... Podał rękę mordercom moich dzieci...

- A ty chcesz potraktować mieczem kogoś tak bardzo Ci bliskiego że nazywasz go bratem.....on podał rękę Qa by ratować ludzi przed rzezią...ty chcesz go zabić bo zaślepiła Cię rządza zemsty i nienawiści.....po raz ostatni przemyśl to co robisz bo będziesz miała na rękach znacznie więcej krwi niż tylko to co zapłami Ci kilt ostatnim uderzeniem serca brata...

Znów zapadła długa chwila ciszy, w której ta, która rozmawiała przeszła kolejne kilka kroków.

- Co będzie, jeśli odpuszczę...? – powiedziała wreszcie cicho - Zaśniecie z powrotem, nic się nie stanie... nikt nie będzie bronił ludzi... jeśli odpuszczę, zginę tylko ja, tak?

- Nikt nie zginie, do cholery! Tego właśnie chcę, żeby nikt nie przelał innej krwi niż krwi Qa .....a Bryn będzie bronił ludzi ale nie mieczem i tarczą, które zawiodły tylko polityką, dopóki nie pojawi się szansa.

- ... nie mam odpowiedzi na twoje słowa.... – zatrzymała się stając obok niego - Jeśli odpuszczę, będziesz w stanie z kolei mi zaufać raz jeszcze?

- Nie chcę słów - warknął ostro - Odpuść i uwolnij go, a wszystko będzie wybaczone przez wzgląd na twoją stratę.... jeśli nie, to nie będzie ani przebaczenia ani litości bo zdrada to zdrada.....

- Nie chcę litości, chcę tego co mi obiecałeś, zemsty na nich... – odpowiedziała równie ostro.

- Więc w istocie wracałaś na marne, bo nie dostaniesz ni zemsty ni zwycięstwa jeśli się od nas odwrócisz... Nigdzie nie pójdziesz, zatrzymam cię dla jego dobra ale może nawet bardziej dla twojego...

- Moje dobro nie ma żadnego znaczenia - tym razem głos kobiety stał się chrapliwy i lekko histeryczny. Trzecia słuchająca gwałtownie wstała i od razu usiadła z powrotem.

- Sigbert! – krzyknęła alarmująco – Coś jest nie tak!

Ta, która rozmawiała, zaśmiała się krótko. Mężczyzna odwrócił się i zatoczył z lekka od nagłego zawrotu głowy.

- Jej dobro nie ma już żadnego znaczenia! – kobieta zachichotała spazmatycznie głosem drastycznie innym niż ten, którym mówiła chwilę temu. Jej towarzyszka – wergundzka czarownica - odepchnęła Tryntyjczyka, który upadł na kolano, wciąż trzymając się za głowę, i rzuciła się w jej kierunku. Z trzaskiem iskier odbiła się od energii. Krąg rozjarzył się wokół obojga szkarłatnym blaskiem, w miejscu, gdzie Inga w niego uderzyła, zadymił się czarnym, śmierdzącym spalenizną dymem. Czarownica wrzasnęła. próbowała rzucić zaklęcie, ale krąg blokował wszystko, blokował energię, odbierał ją, osłabiał.

Ta, która przed chwilą jeszcze mówiła głosem Ingraine, chichotała upiornie, odsuwając się w mrok. Po dłuższej chwili Wergundka widziała tylko świecące w ciemności krwawe oczodoły.

Potem zasnęła....

\*\*\*

Khurd z ciekawością przyjrzała się ceniom przeszłych chwil, majaczącym w śnieżycy. Odgarnęła płatki śniegu z oczu. Czerwony krąg wciąż lśnił lekko, ale to było już tylko blade echo dawnej mocy. Szkoda, pomyślała Samnijka. Szkoda. polubiła tamtą... istotę.

Po chwili ciepłe światło płomienia nadało zupełnie innych barw postaciom i ceniom, zarysom muru i rozcapierzonym końcówkom gałęzi.

Moc myśli. Moc przodków. Potęga krwi. Rozsyp się w pył. Odejdź. Jak ona. Nie ma miejsca dla ciebie tutaj. Odejdź, cieniu.

Ogniu, oczyść. Wietrze, rozwiej.

Krąg pękł w snopie białych iskier.

Czarownica z ciekawością obserwowała kilkoro ludzi i dwoje upiorów, którzy rzucili się ku dwójce leżących na śniegu postaci. Westchnęła.

- Swoimi chęciami ich nie obudzicie – mruknęła.

Pieśń, która popłynęła w eter, miała rytm zgrany z trzeszczeniem płomieni, z uderzeniami mroźnego wichru, cięła wibrujących dźwiękiem jak ostrzem z lodu. Płomienie buchnęły ku górze, zmieniając barwę na zieloną. Khurd, wciąż śpiewając, wyciągnęła ręce nad sobą, gorąca krew pokapała po jej twarzy, futrzanym kołnierzu i białym śniegu pod stopami. Odwróciła się ku Siostrze w Pieśni i gwałtownym wyrzuceniem rąk pchnęła ku niej ciepło, energię i moc.

Inga otworzyła oczy i pierwsze co ujrzała nad sobą, to była roześmiana twarz Ardena.

- Wracamy do Wergundii, mała! Wracamy do domu! – krzyknął, potęgując chaos w jej głowie do niebywałych rozmiarów. Zacisnęła ręce na rogu sygnałowym, którego wciąż nie wypuściła z dłoni.

- Coooo....- szepnęła – Na chwilę was zostawić samych...

Khurd uśmiechnęła się i przysiadła przy niej, mocno obejmując za szyję. Obserwowała jednocześnie nadal sytuację. Jej uwadze nie umknęła postać w kilcie, która jeszcze przed chwilą klęczała przy nieprzytomnym Tryntyjczyku. Teraz, gdy odzyskał przytomność, odeszła na kilka kroków i stanęła na granicy światła. Czarownica widziała, jak skryła twarz w dłoniach, śmiejąc się przez łzy jak ktoś, kto był bardzo blisko wielkiej tragedii i jej cudem uniknął.

Arden również zauważył.

Na wszelki wypadek jeszcze raz przyjrzał się przyjaciółce. Nie, czerwona poświata, jej upiornie czerwone oczy, to wszystko zniknęło. Rozumiał jej radość.

"Ona myśli, że już wszystko straciła" przypomniał sobie, co mówiła jej ustami istota, żywiąca się rozpaczą. "Dopiero kiedy straci ich naprawdę, kiedy będzie patrzeć, jak umierają z jej winy, pomimo jej woli, dopiero wtedy zrozumie, jak wiele miała"

"Chyba zrozumiałaś, Ingraine" pomyślał. Na szczęście. Teraz pozostało tylko wszystko wyjaśnić....

- Sigbert, czekaj! – krzyknęła Inga za plecami Wergunda.

...dowódcy - dokończył w myślach. Tryntyjczyk, któremu wróciły już siły, przywrócone rytuałem samnijskiej czarownicy, podobnie jak Brynjolf kilka godzin wcześniej zerwał się z ziemi i chwycił za broń. Miecz zawył do wtóru z porywami wichru.

Ingraine nie podniosła tarczy.

- Stój! – wrzasnęli jednocześnie Brynjolf, Inga i Arden. Może to poskutkowało, a może jarl Hirdu Mgieł przypomniał sobie, że pojedynczym ciosem miecza nie zabije upiora. Ostrze zatrzymało się w pół drogi. Stał tuż przed nią, tak że pozostali ledwie słyszeli jego słowa. Każdy, kto go znał, wiedział, że rzadko bywał wściekły, teraz z trudem nad sobą panował.

- Nie posłuchałaś rozkazu – powiedział przez zaciśnięte zęby – Naraziłaś życie dowódcy i bezpieczeństwo całego Hirdu... Ufałem ci...!!

- Wszyscy przeżyli, wyprostowała to... – próbował wtrącić się Arden, ale ten go zignorował. Khurd zachichotała obłąkańczo.

- Myślała, że wszystko już straciła! – powtórzyła słowa demona – A tymczasem straci dopiero teraz! Cyrograf z demonem nie uwzględnia odwrotu... Uratowała ich życie, więc straci swoje...

- Zamknij się, Samnijko – warknął Bryn z irytacją – Musimy zakończyć negocjacje, sprawy z tablicą i sprawę jeńców. Nie ma na to czasu teraz, jarlu.

Sigbert zdążył już schować miecz, w ponurym zamyśleniu wpatrywał się w zamieć.

- Inga – powiedział w końcu – Nałóż na nią więzy, blokadę magiczną, tak żeby nie mogła tykać broni ani uciec. Zabierz jej miecz i tarczę. Wracamy na kontr-fort. Trzeba obudzić hird. Mamy zadanie.

\*\*\*

Zimny, lodowaty wicher, niosący ze sobą zmarznięte kryształki śniegu, przenikał przez Mgły. Bert usiłował zapanować nad dygotaniem zębów i mocno przyciskał do siebie poły futrzanego kozucha. Idąca obok Erdene nasunęła głębiej na czoło futrzaną czapę i próbowała panować nad drżeniem rąk. Rezeda wyprzedzała ich o kilka kroków, próbując dostrzec coś w zamieci. Nerui szedł na koncu, raz po raz oglądając się za siebie. Był absolutnie pewien, że coś za nimi idzie.

- Stójcie.... Czekaście, widzę coś – zawołał nagle, przekrzykując wicher – Jeźdźcy...! Łapcie za broń...

Niemal w tym samym momencie Rezeda krzyknęła lekko panicznie i szarpnęła za łuk. Bert już wyraźnie usłyszał rżenie koni i tętent kopyt.

- Co to jest...?

W białym тумanie zamajaczyły sylwetki jeźdźców, widmowe konie buchały parą, gniewnie szarpiąc wędzidła i tupiąc. Krąg się zawężył, z oddali dobiegł głos bębnow i piszczałek, a potem wysoki, wibrujący zaśpiew.

- To oni – szepnęła ledwie słyszalnie Erdene – Przyszli po nas...

Jeźdźcy okrążyli ich galopem, zwalniając do klusu. Broń wydobyta z pochew załśniła w mdłym blasku Mgieł. Powoli z kręgu uformowały się dwa szeregi, tworząc szpaler.

Ruszyli powoli, z obawą, w ścieżkę, którą utworzyli jeźdźcy. Na końcu przed nimi w obłokach mgły pojawił się, krocząc stępa, wielki wierzchowiec. W siodle na jego grzbiecie siedział okryty futrem mężczyzna, pleciona broda spływała aż na pierś, zdobną w złote amulety i talizmany.

- Mori Khan... – szepnęła Bert i przyklękła przed szamanem. Ten jednak gestem dłoni nakazał mu się podnieść.

Wielki mustang prychnął dymem i iskrami, w ślepiach lśnił mu błękitnawy blask. Otaczający ich wojownicy zbliżali się z każdym krokiem.

- Weszliście we Mgły. Witajcie, dzieci stepu....

Trudno było rozeznąć, czy to mówił szaman czy jakieś głosy zza jego pleców, głos dobiegał zewsząd i znikąd jednocześnie.

Zaśpiewaliście swoją pieśń śmierci. Nie uklękliście się, wasze serca nie zadrżały.

Duchy wasze są silne. Mogą odejść ku wyższym gałęziom Drzewa, iść w światłość, ku Stwórcy, a na każdym stopniu będą witane z pokłonem.

Lecz możecie też zostać ze mną.

Szaman zeskoczył z konia, wzburzając pylisty śnieg, jakby zeskoczył w warstwę popiołu.

Spod futrzanego otoka patrzyły przenikliwe, czarne oczy bez źrenic.

- Możecie zostać ze mną i walczyć.

- Walka się nie skończyła jeszcze...? - zapytała niepewnie Erdene - Zwyciężyliśmy, Qa zwyciężyli...

- Walka nie kończy się nigdy – zawył wiatr.

- O co więc walczymy...? O ziemię tryntyjskie...?

- O ziemię!

\*\*\*

Obszerna kazamata krypty w połowie tonęła w mroku, którego nie rozświetlały do końca porozstawiane wszędzie świece i pochodnie. W cieniu, wśród migotliwych plam światła, stały postaci, szare, o pobladłych twarzach, na których widniały smugi odniesionych ran. Większość stojących drżała.

Widać było twarze wojowników, w pierwszych szeregach stali w milczeniu górale z wysokich ziem, Aoife, Strzała, za nimi kolejni, wiele było także nowych twarzy, tych którzy dołączyli już po powstaniu hirtu, poległych partyzantów i ludzi z klanów północy.

Po drugiej stronie kręgu stali zaś żywi.

Ludzie, którzy przyszli z Brynjolfem, choć mniej więcej przyzwyczaili się już do obecności upiornych wojowników, ale wciąż czuli się nieswojo i zwyczajnie się bali.

Sam dowódca też nie czuł się pewnie, ale nie dał tego po sobie poznać. Stał na krawędzi kręgu, rozświetlonego ogniem i magią. W środku we wpisanych w skomplikowane symbole, runy i wzory miejscach klęczeli Inga, Betram i Mathlan. Pomiędzy nimi spoczywała tablica, na której kilka godzin wcześniej Arden wyrył symbol węzła i gwiazdozbiór tarczy Modwita. Niemal identyczna tablica widniała wmurowana w podłogę kazamaty.

Oprócz tablicy na środku leżał także rzeźbiony róg sygnałowy. Jego misterne wzorki i runiczny napis lśniły złociście, dając wizualny znak tego, że napełniają się mocą, podobnie jak te rzeźbione na jego pierwowzorze, spoczywające u stóp Mathlana.

Rytuał dobiegał końca.

Arden, który stał wraz z Sigbertem po drugiej stronie kręgu, podszedł bliżej. Inga, bardzo uroczyście i z namaszczeniem ujęła róg i podeszła do krawędzi kręgu.

- Wracamy do domu – szepnęła z uśmiechem, a głośno dodała – Jesteśmy gotowi, jarlu. Obowiązki wartownika zdaję Mathlanowi z Leth Caer – wyrecytowała oficjalnie – Niech zajmie moje miejsce i obudzi Hird kiedy przyjdzie czas.

Elf podniósł się na nogi, wystudowanym gestem poprawił szkarłatny kaftan i ujął w dłonie jeden z dwóch rogów sygnałowych, po czym stanął przed Sigbertem.

Tryntyjczyk spojrzał na niego mrużąc oczy.

- Inga cię wybrała, elfie – mruknął tak, by słyszeli tylko stojący najbliżej – Jednak jeśli nie jesteś w stanie pełnić tej funkcji, powiedz to teraz....

Mathlan uśmiechnął się sztucznym, dyplomatycznym uśmiechem.

- Wiesz, że wolałbym aby ta tablica wędrowała do Caer – odpowiedział równie cicho – I wiesz, że gdyby nie dobro sprawy, nigdy nie nazwałbym cię jarlem.

- Zawsze możesz odejść we Mgły – warknął Sigbert

- Zawsze mogę i dobrze, że to wiesz – elf nie spuścił wzroku – Ale nie odszedłem. Skoro nie mogę służyć Miastu tam, będę zatem służył tutaj. Jarlu....

Sigbert zamilkł na chwilę próbując wzrokiem przebić zasłonę pozorów, jaką elf roztaczał, po czym głośno już oznajmił:

- Mathlan zatem przejmuje godność Wartownika. A wy, Wergundowie... – uśmiechnął się lekko – To był zaszczyt służyć z wami i przejść cały ten szlak bojowy u waszego boku. Oddaliście życie za mój kraj, jesteście wam dłużni wdzięczność i wsparcie w boju. Jeśli rzeczywiście powrócił wasz bóg, niech ma opiekę nad nami wszystkimi...

- Wrócił – Arden uśmiechnął się, ujmując wyciągniętą do siebie rękę – Nie trać nadziei, jeszcze nie wszystko stracone. Walka razem z wami to była wielka sprawa, a czeka nas jeszcze wiele walk. Teraz wracamy do domu.

Callan nie bawił się w uściski rąk. Wielki paladyn pociągnął do siebie dowódcę i uściśnął tak, że gdyby ten nie był tym czym był, to groziłoby mu połamanie kości.

- Żegnaj uparty Tryntyjczyku – uśmiechnął się – Dobrze prowadziłeś do walki. Wytrwaj jak najdłużej.

Vela tymczasem podeszła do Mathlana. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Tęsknię za domem... – powiedziała w końcu. Nie miał serca odpowiedzieć jej, że nigdy już tam nie wróci.

- Dom jest wart tęsknoty. A wszystko jest możliwe – mruknął wymijająco, przez chwilę objął dłońmi jej twarz i dotknął czołem jej czoła – Nigdy ci nie zabiorą tego, co nosisz w sercu – zdecydował się na wzniosłe i zbyt patetyczne słowa, ale elfka najwyraźniej takich właśnie oczekiwała w tej chwili.

- Wiem – powiedziała – Dlatego będę was zawsze pamiętać.

Inga, jako ostatnia z odchodzących, nie powiedziała nic. Przytuliła się mocno do Sigberta i została tak przez chwilę, po czym otarła nos i policzki z łez i pobiegła w kierunku Ardena. Ten zatrzymał się przy Brynie.

- Pamiętasz o obietnicy? – odezwał się wódz Tryntyjczyków – Pamiętasz, co przyrzekłeś jako warunek?

- Pamiętam i będzie spełnione – powiedział poważnie Wergund – Tymen Mgieł, który powstanie nad Sankarą, nigdy nie stanie przeciwko Tryntowi. Nigdy.

- Oby się wam udało – głos Bryna brzmiał pewnie, dodawał otuchy jego ludziom – My wytrwamy tyle, ile będzie trzeba...

Tylko uważny obserwator usłyszałby cicho wypowiedziane z kąta pełne bolesnej ironii słowa:

- Tak... i nigdy się nie poddacie.

Derwan zacisnął zęby i nie dodał już nic więcej, pogrążony we własnych mrocznych myślach. Niespodziewany powrót jednego z bogów dodał ludziom nadziei, Teral wiedział, że to on był autorem owej zmiany, więc fakt, że jego własny kraj właśnie w tej chwili wykrawiał się i tracił najlepszych ludzi w beznadziejnej hekatombie, wydawał mu się wystarczająco ponurą ironią. Teraz jednak faktycznie był w rękach Brynjolfa Gunnarsona, ten zaś nie zamierzał przejmować się czymś innym niż dobro Tryntu.

Żegnany uściskami rąk i słowami Arden skierował się ku wyjściu. Jednak na chwilę jeszcze zatrzymał się, przepuścił Ingę i Callana i cofnął się ku ciemnej wnęce z boku sali.

W mroku zamajaczył kontur postaci.

- Nie zobaczymy się już... – powiedział cicho.

- Nie – potwierdziła – Dziękuję ci za wszystko....

- Ingraine... – spojrzał w jej przymglone oczy i westchnął – To nie powinno było się tak skończyć.

- Tak musiało być – uśmiechnęła się – Uratowałeś nas wszystkich, Wergundzie. Oby nie zostało ci to zapomniane.

\*\*\*

Troje Wergundów i elfka zniknęli w ciemności żegnani spojrzeniami i życzeniami dobrej walki. Przeszli z powrotem we Mgły.

Krąg wygasł, tablica i róg przestały pulsować światłem. Bryn i Sigbert stanęli naprzeciw siebie na środku komnaty.

- Więc co teraz? – zaczął dowódca upiórów, a jego spojrzenie, skierowane na Khurd mówiło, że nie do Bryna kieruje pytanie. Samnijka spojrzała spod narzuconych na czoło miedzianorudych włosów.

- Wyruszyli już- powiedziała z uśmiechem – Pójdą ich tropem jak głodne wilki we Mgłach. Nie odpuszczają. Oni nigdy nie odpuszczają.

Sigbert przeniósł wzrok na Brynjolfa.

- Więc jesteście gotowi. Hird stoi w gotowości na twoje rozkazy.

Ten kiwnął głową w geście potwierdzenia.

- Więc ruszajcie. Musicie dać Ardenowi wolną drogę przez Mgły, dopóki nie wezwie ich Ekhard, który też już wyruszył. Derwan przekazał kontakty do ludzi styryjskiego wywiadu, oni pomogli go bezpiecznie i skrycie przeprowadzić na południe. Ale wy musicie odciągnąć pościg we mgłach.

- Tak jest – uśmiechnął się Sigbert, ale natychmiast spoważniał – Została ostatnia sprawa, potem wyruszamy.

Khurd zachichotała. Bryn zadrzał.

- Jeśli mówimy o tej samej sprawie, to zostaw teraz tę kwestię, są...

- Nie wydaje mi się, żebyś mógł tu wydawać rozkazy... – głos jarla stał się zimny i zdecydowany. Bryn zmrużył oczy.

- Co....?

- Usłyszałeś. Nie rozkazujesz w sprawach wewnętrznych hirdu.

- Sam oddałeś mi pod rozkazy swój oddział – warknął cicho Bryn – A teraz odmawiasz posłuszeństwa? Właśnie ty...?

Dowódca upiórów zrobił dwa szybkie kroki i znalazł się tuż przy rozmówcy, nachylając się niemal do jego ucha, syknął przez zęby:

- Oddałem. I wykonam każdy twój rozkaz na polu bitwy. Każdy, który będzie dotyczył walki. Ale to są wewnętrzne sprawy Hirdu. Sprawy umarłych. I nie masz prawa w nie ingerować.

Przez długą chwilę obydwaj dowódcy mierzyli się wzrokiem, obydwaj nieświadomie trzymając dłonie na rękojeściach, zupełnie jakby mieli po nie sięgnąć, choć żaden nie zamierzał.

Odpuścił Bryn.

- Mógłbym to wymusić na tobie.... – powiedział cicho – Mógłbym żądać żebyś ją uwolnił i miałbym pełne prawo, bo to mnie chciała zabić. Ale nie chcę tu kolejnej wojny. Wszystko, tylko nie kolejne wewnętrzne spory. Wierzę, że nie zrobisz tego, co rzekomo zamierzasz. Naprawdę wierzę. Ona nie zasłużyła na taki koniec. Wspomnij Sliabh Ard, Arden, Askaron, kontr-fort wreszcie. Niewielu masz takich jak ona.

- Niewielu mam takich, którzy podnieśli rękę na towarzyszy z oddziału – odpowiedział – Ale każdego potraktuję tak samo. Każdego czeka otchłań. Nie mieszaj się w to.

- Niech cię szlag – warknął młody Tryntyjczyk- Gdyby nie dobro sprawy, rozmawialibyśmy inaczej.

- Właśnie – odpowiedział groźbą Sigbert – Więc dla dobra sprawy i dla dobra Tryntu teraz stąd wyjdiesz, zapomnisz o tym i zajmiesz się negocjacjami za jeńców, których pojmałeś.

Bryn cofnął się powoli, z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Dla dobra Tryntu....

Khurd jeszcze przez chwilę stała przy Sigbercie, bawiąc się kosmykiem włosów.

- Dla dobra Tryntu... – powtórzyła za dowódcą – Widzisz, jarlu upiorów.... Więc coś jej się jednak udało. Ona uznałaby, że było warto po to, by się stał tym właśnie. Prawdziwie przywódcą...

- Co ty o tym wiesz, Samnijko...

- Ja wiele wiem, Sigbercie... Także i to, że nie zdołasz....

- Odejdz....

- Ona to zrobiła dobrowolnie, ale nie świadomie... Chciała byście byli bezpieczni i z daleka od jej ostrza... i nigdy nie zabiłaby Bryna...

- Odejdź! – głos Tryntyjczyka szczerknął niebezpiecznie, poparty wymownym gestem ręki w pobliżu rękojeści miecza. Samnijka parsknęła mu w twarz, ale cofnęła się, wciąż się śmiejąc

Śmiech rozlegał się echem jeszcze na długo po tym, jak minęła korytarz wychodzący z krypty.

Mathlan podszedł bliżej, wcześniej nie chcąc ingerować w spór Tryntyjczyków.

- Jesteś pewien? Ludzie ją lubili. Poza tym jest niezłym szkoleniowcem.

- Jest zdrajcą – Sigbert odwrócił się gwałtownie i odpowiedział dużo mocniej, niż wymagała sytuacja. Elf spojrzał na niego badawczo.

- Zdajesz sobie sprawę, że tak naprawdę chodzi ci głównie o twoje własne zranione zaufanie....?

- Nie rób mi tu tanich wymówek – odpowiedział z irytacją Tryntyjczyk – Moje zranione cokolwiek nie ma żadnego znaczenia. Liczą się zasady i to, czy Hird będzie funkcjonował. Zdrada jest zdradą. Mogę rozumieć jej rozpacz, jej rozczarowanie, ale zawarła pakt z demonem przeciw własnym towarzyszom, podniosła miecz na swojego dowódcę. Za to jest tylko jedna kara.

- Będzie jak uważasz zatem – Mathlan westchnął. Los dawnej przyjaciółki obchodził go średnio, od czasu kiedy stanęła przeciwko niemu i bogom, nie miał dla niej ani współczucia ani sympatii – Więc wszystko jest przygotowane.

- Jak to się odbędzie?

- Ech... Jak w rytuałach łowców potworów. Krąg odbiera jej energię, to jej część eteryczna, kilka kolejnych zaklęć i osłabnie. Wtedy wystarczy celny, krytyczny cios, a potem ostatnie zaklęcie. Odejdzie w nicość.

- Nie przyłożę do tego ręki – mruknął Betram, przysłuchujący się rozmowie. Sigbert spojrzał na przyjaciela z wyrazem rozczarowania.

- W takim razie zabierz stąd ludzi. Nie muszą na to patrzeć.

\*\*\*

Krąg był zielonkawy i dymił. Ingraine spojrzała na miejsce egzekucji wzrokiem w najwyższym stopniu obojętnym i trudno było rozeznaczyć czy to tylko poza czy rzeczywista obojętność. W kazamacie zostali wyłącznie oficerowie, ci, którzy zakładali hird. Usiłowała nie widzieć ich spojrzeń, w których mieszała się pogarda, smutek, współczucie i kompletne niezrozumienie.

- Mam rozkazać żeby cię w tym unieruchomić, czy sama to zrobisz? – głos jarla był bardziej lodowaty niż wyjący na zewnątrz wicher. Tryntyjka bez słowa przestąpiła granice kręgu. Zachwiała się lekko, ale stanęła w końcu, patrząc gdzieś w przestrzeń poza ich głowami.

- Jeśli jest coś co cię usprawiedliwia, to mów. Proszę...



- Nie ma – odpowiedziała bezbarwnym głosem, równie obojętnym co jej wzrok.

- Więc...

- Nie ma niczego, co by mnie usprawiedliwiło, mogę tylko wytłumaczyć.

- Nie sądzę, byś mogła. Ale mów.

- Nie zabiłam go – jej głos się zmienił, lekko zadrżał – Nie mogłabym go zabić. Ani nikogo z was. To... to była chwila ciemności, jakiej nikomu nie życzę. Nie było w tym rozsądku ani wiary. Myślałam... że nie zostało mi nic więcej. Myliłam się i zrozumiałam to, zanim było za późno. Naprawiłam wszystko. Odwróciłam. Oskarżasz mnie o zdradę, ale ja nigdy...

- Naraziłaś cały hird. Zaryzykowałaś życie jedyne go człowieka, który może przeprowadzić Trynt przez nadchodzący czas. Jeśli to nie jest zdrada, to co nią jest. Dostałaś ostrzeżenie. Zignorowałaś je. Zaatakowałaś mnie i Inge. Jak miałbym ci jeszcze raz zaufać...?! – ostatnie zdanie Sigbert niemal wykrzyczał, dopiero kpiące spojrzenie Mathlana uświadomiło go, że powinien panować nad gniewem. Ale nie umiał. A może i nie chciał. Kolejny stracony człowiek. Kolejny przegrany front. Wysokie Ziemie. Terala. Bryn, który przez zaślepienie zaprzepścił szansę. A teraz ona. Towarzyszka od samego początku wojny, przez cały front, aż do końca, do wspólnej śmierci i poza tę śmierć. Nie byłoby ich tutaj, gdyby nie jej desperacja, bo to ona pierwsza wróciła we Mgły. Nie, skarcił się w myślach. Dawne zasługi...

... Się nie liczą?

- Nie mam żadnego usprawiedliwienia, jarlu – szepnęła tak, że ledwie usłyszał – Ważne, że nie się nie stało tobie i Indze. Ze Bryn żyje. Wiem, co zdecydujesz i ... i jestem gotowa. Tylko ... ponieważ byliśmy kiedyś przyjaciółmi i .... proszę tylko o jedno.

- Tak?

- Moje imię... – głos jej się załamał i z najwyższym trudem przez zaciśnięte gardło pół szeptem dokończyła – Niech moje imię pozostanie na obelisku....

- Sigbert... robisz błąd – odezwał się Betram. Ktoś z tyłu poparł go w tym, ktoś dorzucił zaprzeczenie.

- To nie jest głosowanie – warknął Sigbert nie odwracając się – Imię zostanie na obelisku. Ale ty... ty odejdziesz. Mathlan... zrób co należy.

Elf westchnął i unióśł brwi.

- Robisz cholerny błąd – powiedział cicho – Nie najeżaj się, wykonam twój rozkaz. Ale to jest błąd. Bo ty sam sobie tego nie wybaczysz.

- Wykonaj. Rozkaz – odpowiedział zimno. Mag zgrzytnął zębami i podszedł do kręgu. Chwilę patrzył w oczy stojącej tam kobiety, wreszcie bez słowa przyklęknął, dotknął rękami kręgu i zaczął inkantację. Z każdą kolejną powtórką Ingraine wyraźnie słabła, zaklęcie odbierało jej siły, wysysało tę resztę energii, którą była. Po którymś kolejnym powtórzeniu upadła, ale podniosła się na jedno kolano, usiłując się wyprostować i nie mieć pochylonej głowy.

Cholerni Tryntyjczycy, pomyślał elf. I cholerne przeznaczenie, dodał w myślach, gdy Sigbert unióśł nad nią jej własny miecz. Przecież widziałem już tę scenę. Jednak przeznaczenie ją dogoniło. Co za pieprzona ironia.

Ostrze ze świstem przecięło powietrze.

\*\*\*

- Mamo, mogę to ubrać?

- Kiara! Odlóż kolczugę, natychmiast!

- Ale ty to nosisz, mamo... Ja też chcę....

- Chodź tu, córka. To jest sukienka do zakładania na bitwę, żeby cię nikt nie zabił.

- Naprawdę? Czyli jak to nosisz, mamo, to nikt ci nie zrobi krzywdy, tak?

- *Tak, córa. I wiesz, zrobimy ci taką samą. Będziesz ją zawsze nosić i nigdy nikt nie da rady zranic cię mieczem...*

- *I ciebie też nie, mamó? To znaczy, że zostaniesz ze mną zawsze zawsze....?*

\*\*\*

- *Co ja powiedziałam?! Co ja wam do cholery mówiłam. Linia szyku nie jest po to, żeby z niej wyskakować!*

- *Ale...*

- *Nie ma "ale"! Wiem, że każdy chce być sławny pojedynczo. Wiem, że każdy się rwie do walki dla chwały i sławy. Ale ogarnijże jeden z drugim, że robiąc ten jeden krok, jeden, narażasz towarzysza w szeregu na śmierć!*

*Jesteście hirdem. Jesteście drużyną. Wasza sława to sława hirdu. Rozumiecie to?*

- *Tak jest, hevdingu!*

\*\*\*

- *Ta walka nie ma sensu...*

- *Ingraine, wstawaj, to tylko ich podle zaklęcia. Nie myślisz tak.*

- *Zostaną tylko zgliszczą, popioły i zgliszczą....*

- *Nie! Zostało coś jeszcze. Zemsta. Przysięgam ci, Ingraine, będziesz miała swoją zemstę, za wszystko, co nam odebrali. Może nie jutro. Ale zemsta nadejdzie. Tylko wstań. I walcz dalej.*

\*\*\*

*Dokonaj tej zemsty, tak jak przysięgłeś, Sigbercie....*

\*\*\*

Uderzyło w jej szyję, zostawiając tylko delikatną, czarną linię tam gdzie używego człowieka pojawiłaby się strużka krwi. Ingraine podniosła wzrok, trzęsąc się z zimna i strachu.

- *Psiakrew!* – krzyknął z irytacją, miecz, rzucony o ziemię, jęknął z protestem – *Nie mogę...* Odbieram ci godność hevdinga i funkcję pierwszego oficera – powiedział przez zaciśnięte zęby – *Nie wyrzucę cię z hirdu, bo we mgłach stracisz do reszty zmysły. Walcz dla hirdu, jeśli jeszcze potrafisz. Ale ani mojego zaufania ani... przyjaźni już nie masz.*

Tryntyjka podniosła się z trudem. Mathlan uśmiechnął się pod nosem, recytując zaklęcie odwrotne wepchnął energię w krąg, który zadymił zielonkawym oparem.

- *Więc mam całą wieczność, żeby je odzyskać* – szepnęła, bojąc się wydobyć głos przez zaciśnięte gardło, by się nie rozplakać. Sigbert zatrzymał się na chwilę patrząc jej prosto w oczy.

- *Wieczność to dużo. Jednak są rzeczy, które raz stracone, są stracone bezpowrotnie.*

\*\*\*

We wzmagającej się śnieżycy piątka wędrowców powoli maszerowała stokiem góry, osłaniając twarze od siekącego skórę drobnego śniegu. Mieli na sobie tryntyjskie płaszcze i tylko po dokładnym przyjrzeniu się można było dostrzec pod nimi błyski złożonych kołnierzy, obsydianowe miecze i rąbki tunik z białej wełny.

Po dokładnym przyjrzeniu się można było także zauważyć dokąd zmierzali. W błękitno-lodowatej rzeczywistości zimowego lasu wyraźnie odcinał się jeden maleńki punkt. Lśnił złotym, ciepłym blaskiem osłoniętego od wiatru ogniska.

Było już niedaleko. Quoreftar i jego oddział podeszli do chatki, nim weszli jednak do ciepłego pomieszczenia, taton gestem nakazał im sprawdzenie terenu. Na wespół przytomni z zimna ruszyli więc dookoła, ale nie uszli daleko. Dwa pierwsze osnieżone kształty, które wzięli za zarośla, drgnęły i wyłoniły się spod nich postaci w kraciastych wełnianych płaszczach.

Ludzie Brynjolfa. Tryntyjczycy nie mieli problemu z wartowaniem w śniegu, choć rzeczywiście tegoroczna zima była bardziej gwałtowna niż pamiętali najstarsi z nich.

Qorykohynaq cofnął się przed ostrzem miecza, wycelowanym do sztychu prosto w jego gardło, ale za jego plecami Raoq i Gerah już rozświetlili ciemność błękitem energii, która gotowa do przemienienia w zakłęcie zaiskrzyła na ich dłoniach.

Tryntyjczyk cofnął miecz i lekko odsunął naciągnięty na czoło kaptur. Rozpoznali go.

- Do środka – odezwał się Kettil szorstko – Dowódca już czeka.

- Umawialiśmy się na równe reprezentacje, Kilkeran – powiedział Quoreftar oficjalnym, władczy tonem – Nie na waszych strażników dookoła.

- Są równe – otwarte nagle drzwi drwalskiej chatki zalały przestrzeń ciepłym światłem, stojący w nich Brynjolf opierał się na lśniącym mieczu z lekko zielonkawej stali – W każdym razie tutaj. Zapraszam – powiedział ze zjadliwą ironią, otwierając szerzej drzwi, za którymi widać było oświetloną kominkiem izbę oraz trzy osoby, Derwana, Atleifa i Marsisa, siedzące przy ogniu – Nie obawiaj się, panie oficerze, jesteście na naszej ziemi i chwilowo jesteście gośćmi.

Quoreftar zmierzył go lodowatym spojrzeniem i wszedł, otrzepawszy płaszcz z przymarzniałego śniegu. Za nim weszli także pozostali, ostatni wszedł Kettil, zamykając drzwi. Wchodząc skinał porozumiewawczo głową do dowódcy, co nie umknęło uwadze tlatona.

- Gdzie zatem ci, których bezprawnie pojmałeś? – zaczął, nim jednak skończył zdanie, Brynjolf mu przerwał.

- Bezprawnie? – warknął.

- Złamałeś traktat – wtrącił się Gerah gniewnym tonem – Zaatakowałeś naszych ludzi, wybiłeś samnijski oddział w terenie i pojmałeś przyjaciółkę Neyestecae! Tylko dobra wola tlatona i niechęć do rozlewu krwi sprawia, że jeszcze się ona nie polała...

- Doprawdy? – syknął Brynjolf patrząc w oczy tlatona – A ja myślę, że wyłącznym powodem do tego jest fakt, że mam w rękach wspomnianą przyjaciółkę waszej władczyni i jak coś jej zrobię, to ona ukręci wam łby!

Gerah zrobił gest, jakby chciał doskoczyć do Tryntyjczyka, jednak poczuł na ramieniu ciężką rękę Kettila i zrezygnował.

- Siadaj, synku – mruknął Kilkeran. Quoreftar przyglądał się temu spode łba, po czym usiadł pierwszy za prostym stołem z nieheblowanych dech.

- Zatem Brynjolfie Gnnarsonie – powiedział oficjalnie – Nie mam innego wyjścia niż cię wysłuchać. I liczę, że wspomniana osoba oraz mój oficer pojmany z nią są tutaj gdzieś i wrócą ze mną.

- Raczysz żartować – Bryn usiadł z drugiej strony, ostentacyjnie stawiając obok siebie meteorytowy miecz – Myślisz, że nie zauważyliśmy waszych oddziałów, usiłujących otaczać to miejsce? Masz nas za durniów...? Przykro mi, jej tu nie ma.

- Rozumiem – przeciągle odpowiedział taton – Zdajesz sobie sprawę, że jeśli jej włos z głowy spadnie, zrównamy z ziemią Silbrfjel i całe Wysokie Ziemie od morza aż do granicy samnijskiej ...

- Nie groź mi! – warknął Tryntyjczyk – Rusz nas tylko, a ten kraj powstanie i zanim wasza wielka armia zdoła zawrócić, z wszystkich waszych garnizonów zostaną zgłiszczą, a z twoich żołnierzy spalone zewłoki. A jej szczątki odeślę waszej Neye w paczce!

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem, opanowując gniew i chęć skoczenia sobie do gardeł.

Quoreftar uspokoił się pierwszy:

- Złamałeś traktat, Brynjolfie. Wymordowałeś mi ludzi...

- Nieprawda – odparł Bryn zdecydowanie – Nie podniosłem na nich ręki chociaż mogłem. Mogłem ich wykończyć co do jednego i do wiosny byście nie znaleźli ich ciał! I tak mi doradzano.

- Łaskawca.. – warknął Gerah z irytacją, ale dowódca uciszył go ruchem ręki.

- To wasi ludzie zdecydowali podnieść na mnie broń – kontynuował Tryntyjczyk – Zabili człowieka pod moją opieką, poranili moich ludzi i mnie i próbowali majstrować przy mojej pamięci, żebym nie mógł tego poświadczyć. Koniec końców sami weszli w drogę tym, nad którymi nie mam władzy – skłamał gładko – Upiorom i to oni wykończyli waszych ludzi. Terał był tego świadkiem, moi ludzie i twój, ci którzy przeżyli. Więc nawet nie próbuj – syknął z naciskiem – używać tego incydentu przeciwko nam, bo nie masz takiej możliwości.

Zapadła chwila pełnej napięcia ciszy, Quoreftar ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Brynjolfa, bawiąc się niewielkim obsydianowym sztylecikiem.

- Czego więc chcesz w zamian za wypuszczenie tamtych dwojga – zapytał wreszcie – Bo rozumiesz, że jeśli coś im się stanie, to skończy się wojną której nie chcesz.

- Ani ty... – odparł Bryn – Bo zapewne nas pokonacie, gdy wasza armia wejdzie tu raz jeszcze, ale jeśli poderwę kraj, to nikt z was nie wyjdzie z tego żywy.

- Mówiłeś to już – warknął chłodno Qa – Czego chcesz?

Bryn zerknął na Derwana, który wstał z ponurym wyrazem twarzy jakby miał podpisać własny wyrok.

- Dla dziedzica Jastrzębców stanowiska namiestnika Terałi – powiedział Tryntyjczyk pewnie – Dopiero kiedy on dotrze do kraju i ja otrzymam od niego wiarygodne potwierdzenie, żeście spełnili obietnicę, wypuszczę hobbitkę. Dla nas – zmniejszenia obowiązkowych kontyngentów żywności o połowę. Gdy to ogłosisz publicznie, wypuszczę oficera.

Quoreftar zmrugał oczy i długo milczał mierząc wzrokiem obu rozmówców.

- Młody Jastrzębiec dostanie stanowisko namiestnika – powiedział wreszcie – Pod warunkiem, że uklęknie przed Opiekunami i pozwoli się naznaczyć ich mocą. Gdy to zrobi, zaprzysięgniemy mu bezpieczeństwo i stanowisko, wtedy wypuścisz hobbitkę. Oficera wypuścisz natychmiast. Nie zmniejszę kontyngentów. Za to tych kilku więźniów... no, może kilkuset, schwytanych na próbach przekraczania granicy albo działaniach przeciw nam... kilku pewnie znasz, bo u ciebie służyli... więc tych więźniów nie obedrę ze skóry w publicznych egzekucjach, nie skasuję im rodzin, jak tej twojej upiorzycy i nie odbiorę majątków. Co ty na to, watażko...?

Bryn zgrzytnął zębami.

- Błefujesz...

- Taaaak? – tlaton skinał ręką i stojący za nim Raoq wyciągnął niewielkie zawiniątko, którego zawartość rzucił na stół. Większość przedmiotów Bryn znał, zielona szarfa Ludzi Leifa, należąca do kogoś z oddziału Olafa, sztylet Moiry i kilka innych należących do ludzi, których znał. Sądząc po dość świeżych śladach krwi, Qa musieli ich dorwać niedawno, najdalej dobrę temu. Przygotowali się więc na negocjacje.

- Dorzucę jeszcze – uśmiechnął się krzywo Qa – że nie podniosę wysokości kontyngentu – widząc jak Kettill prawie gotuje się z wściekłości, dorzucił ze złośliwą satysfakcją – W tym miesiącu. Prawdopodobnie....

- Nie przeginaj! – Bryn podniósł się, odruchowo chwytając za rękę. Gerah także się podniósł, a na dłoni zatańczyły mu błękitne iskry.

- Nie waż się... – warknął wymownie. Tryntyjczyk cofnął rękę.

- Nie chcesz tej wojny, tlatonie – powiedział spokojniej, ale zdecydowanie.

- Oczywiście, że nie chcę – odparł Quoreftar – Ale musisz zrozumieć, Brynjolfie, że nie jesteś w pozycji do stawiania żądań i szantażowania mnie życiem moich ludzi. Z mojej dobrej woli pójdę na

rękę w sprawie Terala, bo może on zatrzymać niepotrzebny rozlew krwi w jego kraju. Ale poza tym... żadnych warunków – ostatnie słowa dodał przez zaciśnięte zęby.

- Rozumiem – westchnął Brynjolf, opuszczając głowę – Szkoda zatem. Skoro zamierzasz i tak łamać rozejm i chwycić moich ludzi, to nie ma różnicy, zatem twój człowiek i ta hobbitka zawisną... Chodźmy...- wstał, robiąc gest, jakby chciał wyjść.

- Czekaj! – odwrócony tyłem do Qa Bryn uśmiechnął się półgębkiem z satysfakcją i mrugnął do Kettila, ale gdy odwrócił się z powrotem do rozmówcy, miał już poważną twarz.

- Wymienię dziesiątkę tych, których przyłapałem na atakach na moje oddziały za mojego oficera i w zamian za hobbitkę dostaniesz stanowisko namiestnika dla Terala i niższe kontyngenty w promieniu mili od Silbrfjel.

- Pięciu mil.

- Trzech – głos Quoreftara zgrzytnął niebezpiecznie.

- Trzech – potwierdził szybko Bryn – Przekaż moim adiutantom czas i miejsce wymiany. Bez twoich oddziałów. Zaprzysięgniecie bezpieczeństwo dla Derwana i warunki objęcia funkcji.

- Tak. Jednak dopiero kiedy on uklęknie przed Opiekunami.

Oczy wszystkich zwróciły się na Terala. Derwan oparł rękę na oparciu ławy, jakby miał się przewrócić. Milczał przez chwilę, ciężko oddychając

- O tym nie było mowy – wysapał i potracając stojącego obok Atleifa wypadł na zewnątrz. Quoreftar uniósł brwi w ironicznym grymasie, Bryn zacisnęła zęby.

- Zechcesz poczekać chwilę, tlatonie – powiedział bardziej oznajmiając niż pytając, kiwnął głową Kettilowi i Atleifowi na znak, że mają się zająć gośćmi i wyszedł na dwór. Śnieżycą uderzyła w niego falą lodowych drobinek, ale zignorował zimno. Terał stał nieopodal przy drzewie, w dłoni trzymał wyciągnięty miecz, głowę opierał na własnej zaciśniętej na rękojęści dłoni.

- Co ty robisz....? – zaczął Bryn – Sam tego chciałeś...

- Nie tego – głos Derwana był rozgorączkowany i mało przytomny – Nie tego, na bogów. Mam klękać przed nimi...? Mój brat zginął za wolny kraj, a ja mam klękać przed jego mordercami...? Okryję hańbą swoje imię, cały ród i znak... Zapamiętają mnie jako zdrajcę, przeklętego sprzedawczyka!

Tryntyjczyk zacisnął zęby. W wątpliwościach towarzysza boleśnie usłyszał echo własnych wyrzutów sumienia i wątpliwości. To on przecież poddał się i wstrzymał gotowe już do powstania oddziały. W imię ... czego? Szans, które miały nastąpić... Być może. Kiedyś.

- Jakie masz wyjście... – powiedział cicho – Rzucić się na nich? Polec w chwale, o której i tak nikt nie usłyszy...? Pewnie wielu cię nazwie zdrajcą. I nie zazdroszczę ci tego co cię czeka. Ale... możesz powstrzymać rzeź, możesz ocalić ludzi, z których kiedyś uczynisz oddziały. Z ich, a może z ich dzieci. Mamy tę szansę, mamy przepowiednię. Mamy...

- Nadzieję....?!

Histeryczny chichot zmroził ich obydwu. Khurd wyłoniła się z zamieci jakby sama była jakimś demonem, jej rdzawe włosy zlepily sie kryształkami lodu i uniosły, tworząc zmierzwioną nieregularną aureolę. Obaj mężczyźni odsunęli się o krok. Czarownica podeszła bliżej.

- Derwan... – szepnęła ze współczuciem – Błędzisz w ciemności... Nigdy już jej nie opuścisz. Ciemność nad tobą, ciemność nad twoim rodem – zdali sobie sprawę, że dziewczyna wieszczy, więc znieruchomieli czekając na dalsze słowa.

- Nie jesteś swoim bratem, Derwanie. Twoje ścieżki są inne.

- Nie miałaś tu przychodzić, Samnijko – mruknął Bryn. Khurd spojrzęła na niego całkiem przytomnie.

- Nie mam dokąd pójść – powiedziała smutno – Nie bój się, dowódco. Nie zdradzę cię, dopóki walczysz z trucizną, która sączy się na stępy.

- On przynajmniej walczy – szepnął Derwan. Samnijka odwróciła się do niego, podeszła blisko i ujęła jego twarz w dłonie, powodując, że zadrżał. Choć może dlatego, że stał na śnieżycy w samej koszuli.

- Nazwą cię zdrajcą i zamkną przed tobą drzwi. Nie policzą tych, których uratujesz, a będą ich tysiące. Nie dla ciebie chwała twojego brata, nie dla ciebie obeliski i dumne pomniki. Umrzesz w pogardzie. Nikt nie ocali więcej niż ty. Już to zrobiłeś. To ty ocaliłeś nadzieję. Ocaliłeś bogów. Nie bój się. Znajdziesz siłę. Nic nie jest zapomniane, Derwanie. Nic nigdy nie jest zapomniane.

Bryn w milczeniu patrzył, jak słowa czarownicy uderzają w Terała jak ciosy, jak cięcia miecza, po każdym kolejnym pochylał się i opuszczał głowę. Miecz z brzdękiem uderzył o kamienie, wypadając z bezwładnej nagle ręki. Wojownik ukrył twarz w dłoniach.

- Nie potrafię... – szepnął – Nie zdołam.

- Więc Terała stanie się pustkowiec.. – odpowiedziała czarownica.

\*\*\*

Gdy wrócili do środka, przywitało ich zniecierpliwione sapnięcie Quoreftara i zaniepokojony wzrok Tryntyjczyków. Derwan podszedł z powrotem do stołu, był blady jak ściana, ale spokojny.

- Zrobię to... powiedział wreszcie tak cicho, że prawie nikt nie usłyszał, przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło – Zrobię to. Uklęknię. W zamian za władzę w Terali i wycofanie stamtąd waszych siepaczy.

- To się da zrobić – uśmiechnął się tlaton – Rozsądny z ciebie człowiek, rozsądniejszy niż twój brat.

Nie spodziewał się chyba reakcji na wpół przytomnego Terała, bo nawet nie zdążył podnieć ręki w obronie. Dłoń Derwana z szybkością umykającą oczom uchwyciła go za gardło, wbijając palce pomiędzy ścięgna a tchawicę.

- Nigdy nie wspominaj o moim bracie. Nigdy. Ty ani żaden z waszych. Jego imię jest dla was zakazane...

- Zostaw... – Bryn też nie zdążył zareagować i teraz usiłował możliwie uspokoić sytuację i powrócić do rozmów. Na szczęście wybuch był krótkotrwały. Derwan puścił tlatona i ciężko usiadł.

Porozumienie zostało zawarte.